

Dla Sharon

Życie prędzej czy później z każdego robi filozofa

MAURICE RIESLING

Wprowadzenie: Odjazd

Jesteśmy głodni. Jemy i jemy, ale nadal jesteśmy głodni. Im więcej jemy, tym bardziej dokucza nam głód.

Sięgamy po smartfony. Co za wspaniałe urządzenie! Za jednym pociągnięciem palca zyskujemy dostęp do całej ludzkiej wiedzy: od starożytnego Egiptu po fizykę kwantową. Pochłaniamy to wszystko, ale nadal jesteśmy głodni. Co to za głód, którego nie da się zaspokoić?

Nie chcemy tego, co wydaje nam się, że chcemy. Myślimy, że chcemy informacji i wiedzy, ale tak nie jest. Chcemy mądrości, a to duża różnica. Informacja to stos faktów; wiedza też jest takim stosem, tylko lepiej ułożonym. Wiedza sortuje fakty, nadaje im sens, a co najważniejsze, wskazuje, jak można z nich zrobić najlepszy użytek. Jak stwierdził brytyjski muzyk Paul Miles-Kingston: „Wiedza mówi nam, że pomidor jest owocem. Mądrość polega na tym, żeby go nie wrzucać do sałatki owocowej”^{*}. Mądrość to nie tylko wiedza, ale też zrozumienie.

Różnica między wiedzą a mądrością nie jest różnicą stopnia, ale rodzaju. Większa wiedza niekoniecznie oznacza większą mądrość,

* Cyt. za: *Oxford Dictionary of Humorous Quotations*, red. G. Brandreth, Oxford University Press, Oxford 2013, s. 84.

a może nawet oznaczać mniejszą. Można wiedzieć zbyt dużo, i można źle rozumieć to, co się wie.

Wiedzę się posiada, a mądrość uprawia. Jest umiejętnością i, jak każdej umiejętności, można się jej nauczyć. Wymaga to jednak wysiłku. Jeśli liczymy, że przyswoimy ją przypadkiem, to moglibyśmy równie dobrze liczyć, że przypadkiem nauczymy się grać na skrzypcach.

A jednak tak właśnie postępujemy. Idziemy przez życie zygzakiem, mając nadzieję, że uda nam się zebrać tu i tam skrawki mądrości. Ale jesteśmy w tym wszystkim pogubieni. Mylimy to, co pilne, z tym, co ważne, wodolejstwo bierzemy za głębię myśli, popularność miesza nam się z wartością. Jak to ujął jeden ze współczesnych filozofów, prowadzimy „błędne życie” (*we are misliving*)*.

Ja też jestem głodny – przypuszczam, że bardziej niż większość ludzi, a to przez uporczywą melancholię, która mi towarzyszy, odkąd tylko pamiętam. Przez lata próbowałem zaspokoić ten głód, chwytając się różnych sposobów: religii, psychoterapii, podręczników samopomocy, podróży. Zaliczyłem nawet niefortunny eksperyment z grzybkami halucynogennymi. Każda z tych metod tłumiała głód, ale nigdy do końca ani na długo.

Aż w końcu pewnego sobotniego ranka zstąpiłem do zaświatów: mojej piwnicy. To właśnie tam przebywają w odosobnieniu książki, które wygnałem z salonu. Wśród tytułów takich jak *Gazy bez odrazy* czy *Finanse domowe dla nierozgarniętych* natrafiłem na *Historię filozofii* Willa Duranta z 1926 r. – porządną cegłę, która po otwarciu wypuściła z siebie obłoczek kurzu. Przetarłem ją i zacząłem czytać.

Nie doświadczyłam żadnej błyskawicy objawienia, żadnego przełomowego momentu, jak święty Paweł na drodze do Damaszku. A jednak coś nie pozwalało mi się oderwać od lektury – nie tyle same idee zawarte w książce, ile pasja, z jaką zostały przedstawione. Durant wyraźnie był człowiekiem zakochanym, ale w kim – albo w czym?

* W. Irvine, *A Guide to the Good Life: The Ancient Art of Stoic Joy*, Oxford University Press, New York 2009, s. 13.

„Filozof”, z greckiego *philosophos*, znaczy „miłośnik mądrości”. Ta definicja nie mówi, na czym polega mądrość, tak samo jak amerykańska Deklaracja Niepodległości nie precyzuje, na czym polega szczęście. Można kochać coś, czego się nie ma i nigdy nie będzie się miało. Liczy się samo dążenie.

Piszę te słowa w pociągu. Jestem gdzieś w Karolinie Północnej, a może w Południowej, nie jestem pewien. W pociągu łatwo stracić poczucie przestrzeni, tak samo jak czasu. Uwielbiam pociągi, a właściwie uwielbiam jeździć pociągami. Nie jestem entuzjastką kolei, który ślini się na widok, powiedzmy, lokomotywy SD-45 z silnikiem spalinowo-elektrycznym. Nie obchodzą mnie tonaże ani rozstawy szyn.

Uwielbiam samo doświadczenie: rzadką kombinację ekspansywności i przytulności, którą daje tylko podróż pociągami. Jego wnętrze – ta tropikalna temperatura, to ciepłe światło – przypomina pęcherz płodowy. Przenoszę się w nim w stan przedświadomości, w ten szczęśliwy czas, kiedy nie musiałam jeszcze wypełniać formularzy ani zbierać pieniędzy na studia, nie obchodziły mnie plany opieki medycznej ani natężenie ruchu ulicznego. Krótko mówiąc – do epoki sprzed nastania sióstr Kardashian.

Moja teściowa cierpi na zaawansowanego Parkinsona. To okropna choroba ograbiająca ją z umiejętności i pamięci. Dużo już zapomniała, ale zachowała żywe wspomnienia dziecięcych podróży pociągami przez północny stan Nowy Jork, na trasie z Albany przez Corning do Rochester i z potem z powrotem do Albany. Widoki, odgłosy i zapachy wracają do niej całym potokiem, jakby doświadczyła ich wczoraj. Podróże pociągami mają w sobie coś, co nie pozwala nam o nich zapomnieć.

Filozofia i pociągi pasują do siebie. W pociągu mogę myśleć, ale już w autobusie kompletnie mi to nie wychodzi. Podejrzewam, że chodzi o różnicę doznań, a może o nieprzyjemne skojarzenia: autobusy przypominają mi dziecięce podróże do szkoły i na kolonie, a więc w miejsca, w których nie chciałem się znaleźć. Pociągi zabierają mnie tam, gdzie chcę, i robią to z prędkością myśli.

Jednak zarówno filozofię, jak i pociągi cechuje pewna archaiczność: kiedyś stanowiły ważną część naszego życia, ale dzisiaj zostały sprowadzone do roli osobliwych przeżytków. Mało kto podróżuje dziś pociągiem, jeśli ma inny wybór, i nikt nie studiuje filozofii, jeśli jego rodzice mogą go wysłać na inne studia. Filozofia, podobnie jak podróżowanie pociągiem, jest czynnością, którą ludzie uprawiali, zanim przekonali się, że istnieją lepsze opcje.

Jestem subskrybentem czasopisma „Philosophy Now”. Przychodzi co miesiąc w brązowej kopercie jak pismo pornograficzne. W jednym z ostatnich numerów na okładce wybito wielkimi literami: „Czy świat jest złudzeniem?”, a na innej znalazło się pytanie: „Czy to, co prawdziwe, jest tym samym co prawda?”. Kiedy czytałem te nagłówki mojej żonie, przewracała oczami. Dla niej, podobnie jak dla wielu ludzi, tego typu artykuły stanowią ucieleśnienie całego bezsensu filozofii – absurdalnych pytań, na które nie można znaleźć odpowiedzi. Słowa „filozofia” (*philosophy*) i „praktyczny” (*practical*) są blisko siebie tylko w słowniku języka angielskiego.

Technika skłania nas do poglądu, że filozofia przestała się liczyć. Komu potrzebny Arystoteles, kiedy mamy algorytmy? Skoro narzędzia cyfrowe są tak znakomite w udzielaniu odpowiedzi na pomniejsze życiowe pytania – Gdzie znajdę najlepsze burrito w Boise? Którędy najszybciej dojadę do biura? – to zakładamy, że równie dobrze odpowiedzą na te wielkie. Jednak tak nie jest. Siri może nam bez pudła wskazać tę najlepszą budkę z burrito, ale zapytajmy ją, jak się nim najlepiej cieszyć, a natychmiast nabierze wody w usta.

Albo weźmy podróż pociągiem: technika i jej władczyni, nauka, mogą nam podać prędkość pociągu, jego masę i ciężar, a nawet wyjaśnić, dlaczego ciągle tracimy połączenie z pokładowym Wi-Fi. Jednak nauka nie powie ci, czy powinnaś pojechać pociągiem na zjazd absolwentów, czy może do wujka Carla, który zawsze cię irytował, ale teraz jest ciężko chory. Nie powie ci też, czy dopuszczalne z etycznego punktu widzenia jest wyrządzenie fizycznej krzywdy dziecku, które wrzeszczy i kopie w tył twojego fotela. Nie powie ci wreszcie, czy pejzaż za oknem jest piękny, czy landszaftowy. Filozofia też nie

udzieli ci odpowiedzi na te pytania – przynajmniej nie definitywnych – ale można ci pomóc spojrzeć na świat z innej perspektywy, a to już coś bardzo wartościowego.

W mojej lokalnej księgarni zauważyłem dwa działy: jeden z „Filozofią” i drugi, tuż obok, z „Przemianą osobistą” (*Self Transformation*). Gdyby w starożytnych Atenach istniał odpowiednik dzisiejszej sieciowej księgarni Barnes & Nobles, te dwa działy byłyby jednym. Filozofia była wówczas tym samym co przemiana osobista. Miała wymiar praktyczny. Była terapią, medycyną duszy.

Filozofia jest formą terapii, ale w innym sensie niż masaż rozgrzanymi kamieniami. Ta terapia nie jest przyjemna ani nie uśmierza bólu. Bardziej przypomina ćwiczenia na siłowni niż odpoczynek w spa.

Francuski filozof Maurice Merleau-Ponty nazwał filozofię „radikalną refleksją”^{*}. Podoba mi się to, jak Merleau-Ponty nadaje filozofii aurę czegoś intensywnego i niebezpiecznego. Kiedyś filozofowie byli władcami ludzkiej wyobraźni, prawdziwymi herosami. Byli gotowi umrzeć za swoje poglądy, a niektórzy, jak Sokrates, rzeczywiście za nie zginęli. Dzisiaj jedynym heroicznym aspektem filozofii są epickie rozmiary zmagania o etat profesorski.

W większości szkół nie uczy się dziś filozofii w liczbie pojedynczej, ale przekazuje wiedzę o filozofach w liczbie mnogiej. Uczniowie nie dowiadują się, jak filozofować. Tymczasem filozofia różni się od innych przedmiotów szkolnych. Nie jest zasobem wiedzy, ale pewnym sposobem myślenia i bycia w świecie. Jej najważniejsze pytania nie zaczynają się od „co?” ani od „dlaczego?”, tylko od „jak?”.

Słowo „jak?” nie cieszy się dzisiaj szczególnym poważaniem. W świecie literatów książki typu „Jak osiągnąć to czy tamto?” traktuje się z zażenowaniem, niczym odnoszącego sukcesy, ale nieokrzesanego kuzyna. Poważni pisarze nie piszą książek poradnikowych,

^{*} M. Merleau-Ponty, *Fenomenologia percepcji*, tłum. M. Kowalska, J. Migasiński, Fundacja Aletheia, Warszawa 2001, s. 12.

a poważni czytelnicy do nich nie zaglądną (a przynajmniej się do tego nie przynajną). Jednak większość z nas nie zastanawia się do późnej nocy, „jaka jest natura rzeczywistości” ani „dlaczego istnieje raczej coś aniżeli nic”. Tylko jedno z pytań zaczynających się od „jak” – „Jak żyć?” – nie przestaje nas nurtować.

Filozofia, w odróżnieniu od nauki, ma charakter preskryptywny. Nie tylko opisuje istniejący świat, ale też pokazuje, jak mógłby on wyglądać, otwierając nam oczy na inne możliwości. To, co Daniel Klein napisał o starożytnym greckim filozofie Epikurze – że powinno się czytać jego dzieła nie tyle jako filozofię, ile jako „ulepszającą życie poezję”^{*} – można by powiedzieć o wszystkich dobrych filozofach.

Przez ostatnich kilka lat wchłaniałem tę poezję, powoli, z prędkością myśli, siedząc przy oknie pociągu. Podróżowałem nim wszędzie, gdzie tylko mogłem, i zawsze, kiedy tylko miałem okazję. Jechałem do miejsc, w których żyli i myśleli niektórzy z największych myślicieli w historii. Przetrwałem Obóz Stoików w stanie Wyoming i stawiałem czoła biurokracji Kolei Indyjskich w Delhi. Jeździłem linią F nowojorskiego metra dłużej, niż ktokolwiek powinien. Te podróże były dla mnie jak interludia między aktami filozofii, szansa na rozprostowanie nóg i umysłu. Stanowiły dla mnie pauzę w najlepszym możliwym sensie tego słowa.

Kiedy wpisujemy „filozofowie” do wyszukiwarki Google, znajdziemy ich setki, a może tysiące. Wybrałem spośród nich czternastu. Jak? Starannie. Wszyscy są mądrzy, chociaż każdy w inny sposób. Reprezentują różne odcienie mądrości. Żyli w odległych od siebie czasach – Sokrates w V w. p.n.e., Simone de Beauvoir w XX w. – i równie odległych miejscach: od Grecji po Chiny, od Niemiec po Indie. Cała czternastka już nie żyje, ale dobrzy filozofowie nigdy naprawdę nie umierają: żyją nadal w umysłach innych ludzi. Mądrość jest czymś przenośnym, przekracza granice czasu i przestrzeni, i nigdy nie staje się przestarzała.

* D. Klein, *Foreword*, w: Epikur, *The Art of Happiness*, Penguin, New York 2012, s. viii–ix.

Na mojej liście znalazło się wielu Europejczyków, ale nie tylko oni. Zachód nie ma monopolu ma mądrość. Niektórzy spośród wybranych przeze mnie filozofów, tacy jak Friedrich Nietzsche, byli niezwykle płodni. Inni, jak Sokrates czy Epiktet, nie napisali ani słowa (na szczęście wyręczyli ich uczniowie). Niektórzy osiągnęli za życia wielką sławę, inni zaś zmarli w zapomnieniu. Niektórych już znasz jako filozofów, natomiast o innych, takich jak Mahatma Gandhi, prawdopodobnie nigdy tak nie myślałeś lub nie myślałaś (ale Gandhi niewątpliwie był filozofem). Kilka nazwisk może być dla ciebie zupełnie nowych – na przykład japońska pisarka i dama dworu Sei Shōnagon. To w porządku. W ostatecznym rozrachunku moje kryteria sprowadzały się do dwóch: czy ci myśliciele i myślicielki kochali mądrość i czy ta miłość jest zaraźliwa?

Zwykle myślimy o filozofach jako o odcieleśnionych umysłach. Jednak ci tutaj byli jak najbardziej cielesnymi, aktywnymi istotami. Wędrowali i jeździli konno. Walczyli w wojnach, pili wino i uprawiali miłość. Byli też, każdy i każda z nich, filozofami praktycznymi. Nie interesowało ich znaczenie życia, ale to, by samemu prowadzić życie pełne znaczenia.

Nie byli chodzącymi ideałami, mieli swoje za uszami. Sokrates wpadał w trans, który czasem trwał godzinami. Rousseau więcej niż raz obnażył publicznie pośladki. Schopenhauer mówił do swojego pudła, a o Nietzschem nawet nie warto wspominać. Trudno – mądrość rzadko nosi garnitur od Brooks Brothers, chociaż nigdy nie wiadomo. Mądrość jest nam potrzebna zawsze, chociaż na różnych etapach życia potrzebujemy różnych jej rodzajów. Pytania typu „jak?“, które dręczą piętnastolatków, różnią się od tych, które nurtują nas, kiedy mamy 35 albo 75 lat. Filozofia ma coś ważnego do przekazania na każdym z tych etapów.

Przekonałem się już, że te etapy przelatują jak błyskawica. Zbyt wielu z nas przechodzi je, pogwizdując beztrzesko i zaśmiecając swój umysł rzeczami głupimi i trywialnymi, jakbyśmy mieli przed sobą cały czas świata. Nie mamy. Nie mam. Lubię o sobie myśleć jako o kimś w wieku średnim. Moja nastoletnia córka, geniusz

matematyczny, ostatnio wskazała mi, że mój wiek średni już minął, chyba że dożyję 110 lat.

A więc, chociaż piszę te słowa w pociągu, który straszliwie się wlecze, mój długopis popycha poczucie nagłości – poczucie towarzyszące komuś, kto nie chce umrzeć, nie zaznawszy najpierw prawdziwego życia. Nie mogę tego wytłumaczyć żadnym konkretnym kryzysem – nie jestem poważnie chory, nie wisi nade mną olbrzymia kara finansowa. Żadnego crescendo w hollywoodzkim stylu, tylko zwyczajna melodia utrapień, rozczarowań i dręczącego podejrzenia, że prowadzę błędne życie. Życie nie jest dla mnie problemem – jeszcze nie – ale czuję na karku gorący oddech czasu, z każdym dniem odrobinę mocniej. Chcę, muszę wiedzieć, co jest ważne, a co nieistotne, zanim będzie za późno.

„Życie prędzej czy później z każdego robi filozofa”, powiedział francuski myśliciel Maurice Riseling*. Czytam to i myślę: „Dlaczego mam czekać?”. Po co czekać, aż życie stanie się dla mnie problemem? Dlaczego nie pozwolić mu, żeby zrobiło ze mnie filozofa już dzisiaj, od razu, dopóki jeszcze mam czas?

* Cyt. za: R. Solomon, *The Joy of Philosophy: Thinking Thin versus the Passionate Life*, Oxford University Press, New York 1999, s. 10.

CZĘŚĆ I

ŚWIT

1. Wstawać z łóżka jak Marek Aureliusz

07:07, gdzieś w Dakocie Północnej, na pokładzie pociągu Empire Builder kompanii Amtrak, w drodze z Chicago do Portland w Oregonie.

Poranne światło pada ukośnie przez okno mojego przedziału sypialnego. Chciałbym móc powiedzieć, że łagodnie mnie budzi, ale prawda jest taka, że nie spałem. Moja głowa sprawia wrażenie, jakby wsadzono ją do suszarki bębnowej. Tępy ból promieniuje ze skroni na resztę ciała. Mózg spowija gęsta i trująca mgła. Moje ciało spoczywa swobodnie, ale nie jest wypoczęte.

Jeśli chodzi o sen, istnieją dwa rodzaje ludzi. Pierwszy uważa drzemkę za pewną niedogodność, niepotrzebną przerwę w życiu. Drugi traktuje sen jako jedną z przyjemności życiowych w czystej postaci. Należę do tej drugiej kategorii. Mam niewiele żelaznych zasad, ale jedna z nich brzmi: „Nie przeszkadzajcie mi spać”. Niestety pociąg właśnie to zrobił i nie jestem z tego powodu szczęśliwy.

Jak większość związków, relacja między podróżowaniem pociągiem a snem jest skomplikowana. Owszem, miarowe kołysanie wagonu mnie uspiło, ale wkrótce potem inne doznania kinetyczne – między innymi Nagły Przechył, Gwałtowne Szarpnięcie i Podskakiwanie na Spojeniach Szyn (zwane też Fałą) wybudzały mnie wielokrotnie tej nocy. Słońce wzywa mnie do wstania z łóżka z delikatnością musztrującego sierżanta. Kiedy się budzimy, jesteśmy w najbardziej delikatnym stanie, bo dopiero sobie przypominamy, kim jesteśmy i jak się tu znaleźliśmy.